

Polityka to brudna sprawa. O tym chyba wiedzą prawie wszyscy. Politykują też prawie wszyscy, i to tak zapamiętałem, że już więcej nie da rady, bo się pozabijają. Tak dzieje się w domach, w pracy, niemal wszędzie. Internauci skaczą sobie do gardeł, bo na ogół są anonimowi. A zawodowi politycy ośmieszają się przed wszystkimi, jak tylko można. Media prześcigają się w donosach albo – jak kto woli – w doniesieniach o niezliczonych aferach co bardziej prominentnych polityków. Czy jednak wszyscy się do polityki, tej uprawianej zawodowo, pchają? Ano nie. Trzeba mieć do tego odpowiednie predyspozycje. Najważniejsze są moim zdaniem jednak tzw. łokcie. Dodałbym, że również inne części ciała, których nie będę wyliczał, służące w tym celu nadspodziewanie dobrze i przede wszystkim skutecznie. Przychodzi mi też do głowy porównanie kariery politycznej do czasami karkołomnej wspinaczki po wydaje się zwykłej drabinie. Otóż nie zwykłej, a specjalnej, prowadzącej do jakby niebios. No bo czym innym jest widok skarbcza umieszczonego na szczycie drabiny, z którego można będzie czerpać do woli. Mieć skarb to mieć władzę, a mieć władzę to mieć skarb. Na dole tłum, na górze skarb, czyli w moim rozumieniu władza. Jak się do niej dorwać. Nie ma innej drogi, trzeba wejść. No dobrze, jak tu wejść, wszyscy nie mogą, a więc tylko wybrani, tzn. kto? Jak to kto, ci najsilniejsi. Słabeusze nie mają szans. Na górę wchodzi się ciężko, to wiadomo, w dół schodzi się łatwiej, choć to tylko pozory. Można przecież spaść na łeb i szyję. Ostatnio okazało się też niespodziewanie, że droga z góry w dół jest niemal katorżnicza. Dla niektórych nie do zejścia, dlatego zapierają się, czym się da, żeby tylko nie w dół. Zapędziliśmy się za daleko. Wracajmy na drogę do góry. Bo przecież najpierw trzeba wejść, a dopiero potem zejść, co jest logiczne. Zaczyna się wspinaczka. Początek, jak to na ogół bywa, nie jest łatwy. Jedni patrzą na drugich. Wiadomo, że do odważnych świat należy. Trzeba spróbować. Wiele zależy od startu. Więc jazda. Ruszyli wszyscy i ci silniejsi, i ci słabsi, pojedynczo i grupowo, bez względu na wiek i płeć. Płeć akurat w tej sytuacji nie gra roli. W innych owszem. Jak to się mówi pierwsze koty za płoty. Jedni pokonują już kolejne szczeble drabiny, inni zostają w tyle. Tempo wzrasta. Pod naporem łamią się szczeble, można powiedzieć, nie tylko drabiny, ale przede wszystkim niejednej kariery. Trudno. Takie jest życie. Najwytrwalsi górą. Drabina jeszcze stoi. Pod szczyt dochodzi coraz mniej kandydatów. Jednak ci wiedzą, że warto się choćby zaczepić. To już będzie dużym sukcesem. Odpadają kolejni. Nikt już nie ogląda się za siebie. Byle wyżej, choć troszkę. Sposoby psychiczne (wyzywanie, ubliżanie, grożenie, gnojenie itp.) oraz fizyczne (ściąganie za nogi, targanie za włosy, tu panie muszą szczególnie uważać, kopanie, gryzienie itp.) są w powszechnym użyciu. Zbliży się szczyt. I oto jest ten, który wszystko zniósł. Sięgnął po skarb. Podniósł go w górę niczym zwycięzca Tour de Pologne. Teraz jest uśmiechnięty, nie zawsze jednak tak będzie. Na razie jest demokratą i będzie musiał się dzielić skarbem czyli władzą z innymi. Zdarza się wcale nie tak rzadko, że szybko skarb staje się jego wyłączną własnością. Przecież wygrał. Wdrapał się na drabinę pierwszy, sam. Nie można mieć do niego pretensji. I tak już pozostanie do końca dnia, czasami, niestety, tragicznych.

Ludziska się martwią tym, że nie są tak zdrowi, jakimi chcieliby być, że nie mają dość pieniędzy itp. Robią na co dzień wszystko, aby mieć ich pod dostatkiem. Tym, że nie mają najczęściej rozumu, raczej się nie martwią. Nie przebiegają. Głupoty, podobnie jak i chorób wszelakich, na pewno im nie zabraknie. I u tych małych, i dużych, pań i panów, polityków i tzw. przeciętniaków, posłów, nie posłów, osłów, nie osłów, więcej nie wymieniam, bo musiałbym wyliczyć wszystkich. Jeszcze któryś by się obraził, że nie znalazł się przykładowo w pierwszej dziesiątce (czyli według internetowych tytułów w 10 top). Inny wolałby znaleźć się poza nią. Jak tu wszystkim dogodzić?

Władcy wszelakiej maści obdarzają się, jakimi się tylko da, odznaczeniami. Im bardziej zasłużony dla panującego systemu, a także innych, tym bardziej wypinał pierś do

zawieszenia na niej medali i krzyży. Niektórym podczas długiego urzędowania brakowało już na niej miejsca. Musieli to wszystko gdzieś przetrzymywać. Chowanie do szuflady było mało sensowne, chodziło przecież o to, aby wszyscy je widzieli. To zrozumiałe. Ja tu tylko wspomnę swój krótki, jednodniowy pobyt w Bukareszcie w 2. połowie lat osiemdziesiątych. Wybrałem się do Muzeum Narodowego, aby obejrzeć wystawę zatytułowaną chyba „Złoto Daków”. Pięknie eksponowane zabytki w gablotach na czerwonym tle. To chyba było gdzieś na dolnej kondygnacji. Pomyślałem, skoro już tu jestem, zajrzę na piętra. I poszedłem. Jedna sala, druga i następne. Nie liczyłem ich. Na ścianach obrazy ówczesnego wodza Rumunii. Dziesiątki gablot wypełnione odznakami otrzymanymi od przywódców całego świata. Obdarowywali go hojnie. Było tam wszystko, czym można było być wyróżnionym, a nie dało się zawiesić na piersi. Takich możliwości pochwalenia się nie ma nawet Lech Wałęsa, choć podobną piersią mógłby chyba zaimponować. Kończę ten fragment dla jednych przykrym, a dla innych radosnym stwierdzeniem, że należnych każdemu krzyży nie zabraknie. Wszystko w odpowiednim czasie.

Lekarze leczą ludzi, czasami ratują ich życie. A czasami nie. Ja tu tylko ledwie dotknę sprawy podając wydumany przykład, ale bardzo prawdopodobny. Wiadomo, że wśród nas są bogaci i biedni. Tak się akurat złożyło, iż zdiagnozowano u nich tę samą chorobę. Musieli być operowani. Bogacza wzięli do najlepszej kliniki. Z pieniędzmi się nie liczył. Miał ich pod dostatkiem. Biedny też pieniędzy nie liczył, bo ich nie miał. Nie dość, że był biedny, to jeszcze bezdomny, więc przyjechała po niego Straż Miejska i zawiozła do zwykłego szpitala. W klinice najlepsi fachowcy z tytułami profesorów, w szpitalu zwykły lekarz na dyżurze. Operacje się udały. Jednak już w nocy w klinice sprawy się skomplikowały i bogaty zmarł. Biedny natomiast wyszedł ze szpitala już rano. Bogatego wkrótce pochowali we wspólnym grobowcu, a biedny wrócił do zbierania puszek po piwie i makulatury. Z tego przykładu wyłania się pytanie, czy lepiej być bogatym, czy biednym?

O snach każdy mógłby gadać dużo. Przynajmniej o wybranych. Śni mi się co noc, a nawet podczas popołudniowej drzemki. Dostyc często dopadają mnie dwa sny jednej nocy. Trudno jest po obudzeniu się i wstaniu wrócić do łóżka i kontynuować sen przerwany. Ale zdarza się. Niektóre sny się pamięta, inne nie. I tak myślę sobie, czy dożyję czasów, kiedy można będzie sny nagrywać. Raczej nie. Coś tam się w tym kierunku robi. Ale to okazuje się jeszcze zbyt skomplikowane. Można sobie wyobrazić kilka miliardów ludzi nagrywających sny na jakieś urządzenia w domu, wkładając np. do uszu odpowiednią aparaturę umożliwiającą odtwarzanie ich w telewizorze, komputerze i Internecie podobnie jak wideo. Chyba nie zmieściłyby się. A ile radochy. To byłyby już nie hity, a superhity, megahity, hity nad hity, extra hity, gigantyczne hity. Ależ się rozmarzyłem. Z pewnością część by przez cenzurę nie przeszła.

Na jednym z portali przeczytałem: „Dlatego warto trzymać się zasady: im mniej pestycydów w tym, co jemy, tym lepiej.” Pytanie dla autora tych słów: Czy zna jakikolwiek produkt, którego wytwórcy chwalą się użyciem pestycydów?

Piwo to napój, który nie wszyscy lubią. Rzeczywiście ma ono specyficzny smak. Są jednak tacy, którzy zaczęli pić i po pewnym czasie wpadli w nałóg. Pierwszy raz spróbowałem piwa jeszcze w szkole średniej. Nie bardzo mi odpowiadało. Później, na studiach, jakby się rozkręciłem. Na pierwszym semestrze chodziliśmy w przerwach między ćwiczeniami i wykładami do przybytku, który dzisiaj określiłbym jako pub, zlokalizowanego w pobliżu katedry, chyba to był narożny budynek przy ulicy Wita Stwosza. Było nas pięcioro. Elżbieta Noworyta, Stefan Janeczek, Werner Pierzyna, Halbtuch (imienia nie pamiętam, bo

był z nami tylko na pierwszym roku) i ja. Siadaliśmy na wysokich stołkach przy ladzie, zamawialiśmy piwo z beczki rozlewane do grubo rżniętych kuflów z uchem i gadu-gadu. To były czasy. Potem już od praktyki wykopaliskowej po pierwszym roku w Opolu picie piwa stało się częstsze, a podczas różnych wyjazdów terenowych również nie skąpiliśmy sobie zalewania nim żołądka. Niestety, na ostatnich latach bywały we Wrocławiu trudności z kupnem piwa, mimo że na miejscu produkowano „Piaś” (całkiem dobry). W następnych latach bywało różnie. W pierwszej połowie lat siedemdziesiątych w wiejskich knajpach, do piwa zamawiałem tzw. korki śledziowe lub serowe na patyczku. Zdarzało się, że piwa brakowało. I znowu przypominałem sobie taką sytuację. Było to bodaj w Zakrzowie. Weszliśmy z Maćkiem, konserwatorem zabytków archeologicznych w Opolu, do baru. Zamówiłem 2 piwa. Czekałem przy ladzie i zobaczyłem, że dopiero co oddane kufle nie były płukane w bieżącej wodzie z kranu, lecz w jakiejś brązowej bryli w wannie stojącej na podłodze z drugiej strony lady. Odechciało nam się pić i wyszliśmy. W latach osiemdziesiątych piłem piwo okazjnie. Kiedy pracowałem w Śląskim Centrum Dziedzictwa Kulturowego, stosunkowo często wyjeżdżałem służbowo do innych archeologicznych placówek, tam spotykałem znajomych i na ogół popijaliśmy piwko. Dzisiaj piję rzadziej. 3-4 razy w miesiącu. Zawsze z butelki. Tak się przyzwyczałem. Nie mogę patrzeć na pijących piwo z puszek. To raczej drobne pijaczki pociągające w parkach, na ulicach, także, o zgrozo w tramwajach, pociągach oraz autobusach. Ograniczenie picia piwa spowodowała dieta nisko węglowodanowa. Duży kufel to dla mnie za dużo. W ciągu ostatnich dwudziestu lat spróbowałem bardzo wielu marek piw dostępnych na naszym rynku. I dalej je lubię.

Komuchy i solidaruchy. Mógłbym na ich temat wiele napisać. Oba słowa utworzono zdaje mi się, a może się mylę, na początku lat osiemdziesiątych. Bardziej popularny był wtedy komuch. O solidaruchach nie mówiło się prawie wcale. Może w tym ogólnym ówczesnym entuzjazmie nie wypadało. I jedno, i drugie uznawane jest za słowo pogardliwe. Słusznie czy niesłusznie, nie wiem. Pewne jest, że jak wymyślono komucha, to musiał się pojawić również solidaruch. Dotknę tu tylko jednego aspektu odnoszącego się do władzy im przypisywanej. Pierwsi siłą rzeczy rządzą komuchy, solidaruchy później, po wygryzieniu tych pierwszych. Wkraczali na arenę dziejową w różnych czasach, ale z podobnym impetem. Co było im wspólne, to silne parcie do władzy. I tego nie wyprą się ani jedni, ani drudzy. Oto moje zdanie na cząstkowy temat z nimi związany. Wiosną 1981 roku pracowałem w przedsiębiorstwie geodezyjnym. I ja i pozostali w sześcioosobowym zespole byliśmy członkami ówczesnego, największego związku zawodowego. Chyba taki był tylko jeden. Doszły mnie słuchy, że coś tam się dzieje i może powstać inny związek zawodowy. Będzie to prawdziwy związek broniący pracowników, a nie jakaś tam atrapa. Wypisałem się więc z dotychczasowego i czekałem. Pozostali nie. Ich sprawa. Kiedy po jakimś czasie wszyscy zaczęli masowo „przepisywać” się do nowego związku, pozostali moi współpracownicy również. Ponaglali mnie, żebym tam jak najszybciej przeszedł. No nie. Ja chciałem się zapisać do nowego związku, z członkami myślącymi inaczej niż w dotychczasowym. Jeśli wszyscy „starozwiązkowcy” wejdą do właśnie się tworzącego, to będzie jakby ten sam związek. W każdym razie w masie. Zmieniają się jedynie na wierchuszce. Takie było moje ówczesne rozumowanie. I się nie zapisałem. Co się później stało. Bieg wydarzeń jest wszystkim znany. Doszło do aresztowań w grudniu 1981 roku. Wsadzono do więzień kilka tysięcy najważniejszych działaczy „Solidarności”. I wtedy pytałem się: No i co? Około 10-milionowa grupa, bo tak szacowano wtedy liczbę członków nowo powstałego związku, nie potrafiła ich obronić? Mnie by było wstyd. Po prostu ta „galerowata” masa przelała się tylko w inne miejsce, ale tłum pozostał w istocie rzeczy ten sam. I tak jak w poprzednim związku stanowił jedynie o liczbie związkowców, i niczym więcej. A i komuchy, i solidaruchy na każdym kroku chwalili się liczebnością ich zwolenników, oczywiście tych zarejestrowanych.

Przykładowych jadłospisów dla seniorów podawanych w Internecie nie da się policzyć, podobnie jak płatków śniegu i piasku. Są nawet jadłospisy optymalne. Zdaniem niektórych tylko takie menu, żadne inne. Senior ma jeść wyłącznie to, co mu podpowiadają eksperci w rodzaju lekarzy, dietetyków, farmaceutów itp. Takie składniki i witaminy koniecznie, żadnych innych. Na dodatek tyle a tyle razy dziennie. Są też gotowe jadłospisy. Biedni młodzi mądralińscy. Skąd to pouczenie się u nich wzięło? Na zdjęciach autorów wypisujących różne brednie same dziewczynki, które dopiero co z piaskownicy wyszły. Seniorów uważają za głupkowatych. Czyżby dlatego, że dożyli osiemdziesiątki? Same nie wiadomo, ilu lat dożyją. Jeśli tak się będą odżywiać, jak starszkom doradzają, to nawet do czterdziestki nie dociągną. Chyba że co innego dla siebie, a co innego innym. Wszystko jest możliwe. Czegóż to ludzie nie wymyślą. Pachnie mi tu wymądrzaniem się ponad miarę i nie najgorszą kasą. Inni są mniej nachalni i tylko radzą bądź podpowiadają. Co gotować na kolację, obiad i śniadanie dla seniorek i seniorów. Odpowiadam: To na co mają ochotę. Nie obrzydzać im reszty życia. Celują w tym młodzi. Nie wiem, jaki mają w tym interes. Szanowna młodzieży dietetyczna i lekarska. Sama sobie ograniczaj jedzenie już w młodym wieku, zobaczymy jak na tym wyjdiesz.

Jedną z lepszych moich rozrywek jest surfowanie po Internecie. Czuję się wtedy jak bezdomny buszujący po śmietnikach. W obu miejscach prawie wszystko można znaleźć. Wspólne jest i tu, i tam to, że trzeba trochę pogrzebać. Niby online można w mig znaleźć co potrzebujesz. Ale to złuda. Przeglądnięcie dziesiątek, a czasami więcej portali wymaga dłuższego czasu. Przejście do właściwej informacji przez nieustannie wskakujące reklamy i zgody na ciasteczka to dla mnie udręka. Trudno w zasadzie rozstrzygnąć, gdzie trzeba się więcej namozolić, żeby coś cennego i użytecznego znaleźć. I na wysypiskach, i w sieci panuje niesamowity bałagan. Nie jest łatwo je porównywać. Ilu internautów, tyle odmiennych zdań, opinii, komentarzy itp. Nie jest to nic dziwnego, bo w realu też tak jest. Cóż z tego, że wyłapałeś stronę z jakimiś interesującymi cię danymi, jeśli na następnych są zupełnie inne, chociaż dotyczą tej samej sprawy. Sfiksować można. Np. jedni dietetycy mówią, żeby unikać tłuszczu. Inni natomiast go zachwalają. Masz babo placek. Właśnie przeczytałem, aby unikać białych majtek. Jak już, to lepiej uciekać od majtek, z prostej przyczyny: bez tłuszczu żyć się nie da, a bez białych majtek można. Niedawno przeczytałem w ulotce, że w Lidlu można kupić „oddychające pieluchy”. Zafrapowało mnie, jak one oddychają. Zastanawiałem się długo, ale do niczego nie doszedłem. Musiałbym się skonsultować z mamami i ich pociechami. Aż tu wpada mi w oko jakaś reklama męskich oddychających oraz lekkich i antypoślizgowych butów. Odkrywam chyba cuda. Tego jeszcze nie było. Coraz więcej rzeczy zaczyna oddychać. Coś kiedyś nienormalne stało się już normalne. Dlaczego tak się dzieje? Podejrzewam, że Internet także oddycha, i to pełną piersią. No bo skoro mogą pieluchy i buty, to tym bardziej Internet. Jak tak dalej pójdzie, to niedługo można będzie powiedzieć, że Internet już ledwo dyszy. Świat się zmienia, ale żeby aż w tak zwariowanym tempie. Przyznam jednak, że takie tempo mi odpowiada, nawet bym je podkreślił.

Włączam Internet prawie każdego dnia (to chyba już choroba, muszę się kontrolować) i wyraźnie widać, że w ofensywie są straszący internautów dziennikarze i lekarze. Zajmowanie się ogłupianiem innych to dla nich chyba jedna z większych przyjemności. Jak otumanić innych, to jest to. Uczestniczą w tym procederze całe tabuny specjalistów i ekspertów. To szczególnie uzdolnieni „kiwacze”. Oto przypadkowy, niewielki wybór nagłówków: Jeżeli masz chrypkę, to może być rak krtani; Co zwiększa ryzyko udaru mózgu; Jakaż to podstępna choroba i jakie są znaki ostrzegawcze; Te objawy mogą być niebezpieczne; Objawy stanu zawałowego; Jak można zmniejszyć ryzyko wystąpienia

choroby; Te objawy mogą świadczyć o chorobie serca; Nietypowe objawy udaru mózgu; Chroni przed marskością wątroby; Objawy niedoboru witaminy D3; Zapomniana choroba wróciła po pandemii; Przyjmujesz witaminę D3, nigdy nie rób tego o tej porze dnia; Dewastuje chorobę bardziej niż whisky; Dłubanie w nosie groźniejsze niż sądzono?; Może prowadzić do nieuleczalnej choroby; Uważaj na to; Doprowadzi twoje nerki do ruiny; Nigdy nie ignoruj takiej wysypki, natychmiast pokaż ją lekarzowi. Litanie, co może być rakiem, jest bardzo długa. Końca jej nie ma. Mało odpornym współczuję. Inne przykłady: Tak zaczyna się rak płuc, żołądka, trzustki, jelit; Onkolog ostrzega; Przy takich schorzeniach nie można jeść mandarynek; Te objawy mogą wskazywać na niskie ciśnienie; Sprawdź, czy ten problem zdrowotny dotyczy ciebie (chodzi o to, jak na setkach innych stron, aby wejść i być zasypanym ciągle zmieniającymi się reklamami, naiwnych nie brakuje); Te objawy mogą świadczyć o poważnej chorobie serca; Wpędzają w szpony cukrzycy; Taki cukier jest szczególnie groźny, zauważyłeś?; Tak objawia się cukrzyca, miażdżyca, niedoczynność tarczycy; Wczesne objawy zawału serca to nie tylko klucie w klatce i drętwienie ręki; Objawy poprzedzające zawał serca; Stan przedzawałowy; Jedz jak najczęściej; Chroni przed nadciśnieniem, zawałem, udarem; Niedobór tej witaminy może powodować depresję; To wirus szczególnie niebezpieczny dla mózgu; Pojawia się na nodze. Może zablokować tętnicę i doprowadzić do śmierci. Uff, aż się zmęczyłem, a zajęło mi to niewiele czasu. Przeglądając niepoliczalną liczbę tego typu „porad zdrowotnych”, można się zdenerwować, ponownie zachorować, w najłagodniejszym wypadku na zawał.

Obiecałem w którymś z akapitów powrócić do wątku związanego z naszym końcem, który jest równocześnie i końcem, i początkiem. Nic odkrywczego w tym, co napiszę, nie ma. Akurat ten koniec, o którym chciałbym tu wspomnieć, ma o dziwo dwa końce, z których jeden jest właśnie początkiem. Być może się mylę, z filozofowaniem było u mnie nie najlepiej. Każdy może się mylić, tak mi powiedziano w markecie, kiedy do mojej torby wpakowano nie ten towar co trzeba. Tak to jednak widzę i proszę mi niczego nie udowadniać, a nieuctwo wybaczyć. Zgodzę się ewentualnie na uwagę, że to moje widzimisię. Chodzi tu o końce fizyczny i duchowy. Ten pierwszy jest jakby klarowny. Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz. Nic dodać, nic ująć. Ale z tym drugim to się narobiło. Od początku człowiek dumał, co będzie z nim, jak umrze. Myślał i myślał. I trwa to do dzisiaj. Czy jeszcze wymyśli, nie wiem. Chyba coraz mniej. Będą tylko powtórki. Przecież tyle czasu minęło, byli mądrzejsi i nic ostatecznego w tej sferze nie wykombinowali. Co jeden wymyślił, to drugi zanegował, czyli zaprzeczył delikatnie, że to nie tak było. A tak prawdę mówiąc to, czy można w sprawach naszego początku i końca cokolwiek konkretnego powiedzieć? Nie było moim zdaniem takich możliwości nigdy. Może to się nigdy nie skończyć, czyli trwać wiecznie.

Piotrowice. Chyba początek lat sześćdziesiątych (1961 lub 1962). Do sali w Piotrowickiej Fabryce Maszyn (już dawno została wyburzona) przyjechali Czerwono-Czarni z Karin Stanek. Mieszkałem w pobliżu, więc się wybrałem. To był znakomity koncert. Zapadł mi głęboko w pamięć. Mam przed oczami scenę w kolorach i energicznie poruszającą się Karin. Wśród piosenkarzy prawdopodobnie był też Toni Keczer. Niestety, minęło tyle lat i składu zespołu dokładnie sobie nie przypominam. W Internecie nie mogę znaleźć żadnej wiadomości o tym występie. Szkoda.

Wszyscy polecają jak jeść, jak się zdrowo odżywiać, i tu następują niekończące się propozycje co powinno być na talerzu, ile procent tego czy tamtego, oczyszczonego bądź przetworzonego, ile białka ile tłuszczu i węglowodanów. Oczywiście tyle a tyle porcji warzyw zielonych, żółtych czy czerwonych i owoców z całego świata. Co szkodzi, a co nie, nawet co jest trujące, a co nie. Nie kończące się co jeść, a co nie. Ba, całe instytuty się tym

zajmują. A to wszystko psu na budę. Nie było takich rad i ludzie żyli całkiem dobrze. Przynajmniej nie truto ich chemicznymi dodatkami. Ci którzy tego słuchają, a co ważniejsze według zaleceń jedzą, zawsze się znajdują i jeszcze setki kucharzy internetowych im pomogą. O dietetykach nie wspominać, bo ich wysyp jest imponujący. Oni też chcą się pokazać i trochę kasy zgarnąć. Większość i tak będzie jadła to co jej wcisną w najlepiej przygotowanych reklamach, które przecież tworzą znakomici fachowcy i biorą za nie grube pieniądze. Konsumenci kierują się wyłącznie smakiem, nie wartością odżywczą, a jedzenie przygotowują chemicy w tysiącach laboratoriów. I też z czegoś muszą żyć, a płacą im najczęściej za nowości. Te są dla nas pieczołowicie przygotowywane, czyli coraz gorsze i bardziej szkodliwe. Może to chemicy wszystkiemu winni? Cały czas gędzą, że to dzięki nim świat się rozwija.

Niedawno natknąłem się na Youtubie na filmik z udziałem Krzysztofa Filipiaka, znanego lekarza z tytułem profesora. Mówił o cholesterolu. Autorami innych widocznych na pasku z prawej strony byli najczęściej dietetycy. Podane pod obrazkami liczby tzw. wejść bądź otwarć sięgały nawet kilkuset tysięcy. Pan profesor Filipowiak mimo licznych tytułów, odznaczeń, a przede wszystkim znajomości omawianych zagadnień, nie cieszył się taką popularnością, a liczbę oglądających rozmowę z nim przemilczę. Czemu to przypisać?

Ludzie cały czas się spierają, kłócą itp., aby tylko udowodnić, że mają rację. I zapewne w większości każdy z nich coś tam racji ma, ale nie wiadomo ile. Może 10%, może 50%, a może więcej. Niestety, są też zawsze niemający racji. Jacyś pechowcy. O tym, kto lepiej argumentuje na swoją korzyść, widać np. w sądach. Po przedstawieniu przez podejrzanych dowodów swojej niewinności sędziowie mierzą się z wieloma niewiadomymi, ot choćby z takim drobiazgiem, jak to, czy zeznający mówi prawdę. To tak w skrócie. Ale materia jest bardzo skomplikowana, oni zaś muszą podjąć jakąś decyzję i ogłosić wyrok, chyba tak jest zawsze, z którym nie zgadza się jedna ze stron. Bywa, że osądzony jest poszkodowany, a w skrajnych przypadkach spędza resztę życia w więzieniu. Inni, winni czy nie, wychodzą na wolność i dożywają końca swoich dni szczęśliwi, że im się udało nabrać wszystkich. Pomni takich zdarzeń niektórzy wolą rozstrzygać spory na miejscu, nie czekać na omyłkowe decyzje sędziów, prokuratorów i całej masy innych prawników żyjących z takich sytuacji. Choćby rąbnąć kogoś w głowę, dźgnąć nożem, a nawet tylko obrzucić błotem i zniknąć. Niektórym to się udaje. A jak się kłóć w rodzinach, w biurach, w telewizji i radiu. Interesujące są też uwagi internautów. To taka furtka do rozładowania swoich emocji. Swoją drogą to powinno się zamieszczać w tego typu komentarzach nazwisko osoby piszącej, a nie pseudonim. Teksty wyglądałyby inaczej. Trudno powiedzieć, czy dalej tak samo w większości głupie. Nie ciągnę wyliczanki do końca, bo chyba nawet go nie ma. Sam też uczestniczyłem w tego typu konfliktach. Z biegiem czasu podchodziłem do nich z rezerwą, z przymrużeniem oka. Sprzeczności interesów bowiem ujawniają się nagle bądź rozwijają powoli. Jak najkrócej ujmując, bywało ostro i krótko albo łagodnie, ale długo. Uznaję ten pierwszy sposób za zdecydowanie korzystniejszy. Ten drugi prowadzi do wielu chorób, ogólnie mówiąc – do nerwicy bądź bardziej potocznie i dosadnie kur...cy. Pewne rzeczy puszczałem w niepamięć, chociaż wracały ze zdwojoną mocą wywoływane przez moich adwersarzy. Niekiedy te ostatnie kończyły się nieoczekiwane wybuchem. Ucinam więc wszystkim znane ogólniki, bo jeszcze trochę i zabrnę w ślepią uliczkę.

Wydawnictw publikujących książki o tematyce medycznej obrodziło. Nie wiem co na to medycy. Bo to co w nich napisano, jest często sprzeczne z ich oficjalnymi poglądami. W większości to tłumaczenia z języków obcych. W PDF jest ich znacznie mniej. Czegóż tam nie

ma. Obrabiają prawie wszystko: mózgi, seks, diety itp. Nakłaniają do ćwiczenia, poszczenia, stymulowania, aktywowania, łagodzenia. I znów nie podolałam wymieniść czego jeszcze.

Prof. Grażyna Cichosz chce walczyć z niewiedzą na temat żywności i żywienia. Nic nie poradzi. Nie ma najmniejszych szans. GIS wydaje co chwilę ostrzeżenia: Nie jedz, pozbań się z kuchni jak najszybciej.

W Internecie ktoś zadał pytanie: Czy baran i owca to to samo? Tak na chłopski rozum to nie to samo. No bo baran to baran, a owca to owca. Pomijam już to, czy na pierwszym miejscu powinna być wymieniana płęć męska czy żeńska. Przyjęło się mówić zawsze: panie i panowie. Jednak wszystko zależy jak zwykle od punktu widzenia, w tym przypadku nie mylić z punktem siedzenia, aczkolwiek oba są ściśle powiązane. Pani i pan (tak poprawniej będzie) to też nie to samo, ale i ta, i ten to ludzie. Tak jak baran i owca to zwierzęta. Tu barana dałem na pierwszym miejscu, bo on zawsze jest na czele, a owce za nim, podobnie ja w zadanym pytaniu. Można popatrzeć na problem z innej strony. Czy ludzie to zwierzęta? Niby się z jednego pnia wywodzą, choć niektórzy mogą się obrazić, ponieważ myślą inaczej. Brnijmy więc dalej po pniu. Skoro jedni i drudzy to zwierzęta, to logicznie biorąc można przypisać pana do barana, a panią do owcy. Jeśli chodzi o płęć, to się wszystko zgadza. Tego nikt nie może zakwestionować. A jeśli chodzi o inne sprawy. Tu się zaczyna gmatwać. Ale to tylko u ludzi, bo u zwierząt od niepamiętnych czasów zostało tak samo. Baran jak przewodził, takim do dziś pozostał. A u ludzi nie. O nie! Już nie tylko panowie stają na przodzie. Panie nie chcą pozostawać w tyle, czyli inaczej mówiąc – wpatrywać się w tego przysłowiowego barana. Historycznie biorąc, ich zakusy do bycia pierwszymi sięgają czasów starożytnych. Dzisiaj też się dobijają do pierwszych rzędów. Idzie im to jak po grudzie. Wydaje się, statystycznie biorąc, a nawet na pierwszy rzut oka, że częściej pozostają pierwszymi damami. To widać podczas wizyt państwowych i na innych szczeblach. Może w tej roli się lepiej czują (taka tradycja). Zawsze oczywiście będą wyjątki. Współcześnie jest ich coraz więcej, czyli to już chyba nie wyjątki. Tak więc najważniejszy jest punkt widzenia. Pewne aspekty tego skomplikowanego zagadnienia rozpatrzę (czytaj: rozdrobnię) w innym miejscu. Rozdrabnianie czego się tylko da na cząsteczki to nie tylko mój konik, a prawie każdego. Czasami wręcz jestem pewien, że już niczego rozdrobnić się nie da, ale po pewnym czasie okazywało się, że się myliłem.

Poniżej tytuły wybranych na chybił trafił portali ostatnio wpychanych na pierwsze strony w Internecie: To zaledwie znikoma ich część. Nie wiem, co stało się powodem uaktywnienia się ich autorów. Oto przykłady:

- Widoczny objaw. Jelita mogą już być zajęte przez raka.
- Objaw widać gołym okiem. Alarmuje o raku żołądka, jelit lub płuc.
- Rak żołądka - wczesne objawy. Ten nowotwór rozwija się po cichu, objawy łatwo pomylić z niestrawnością.
- Zauważyłeś podczas posiłku? To 3 kluczowe objawy raka.
- Czujesz ten posmak w ustach? Znak, że rak zajął jeden z najważniejszych narządów
- Masz te objawy? To może być rak kości!
- Zaskakujący objaw raka. Pacjenci go przegapiają.
- Wczesny objaw raka trzustki. Wymaga natychmiastowej konsultacji.
- Specyficzny objaw raka płuc. Zauważysz go na paznokciach.
- Główna przyczyna chorób. Zaczyna się od "dziurawych" jelit, kończy rakiem, cukrzycą, depresją.
- Nigdy nie pij. Ryzyko raka przełyku rośnie aż o 90 proc.
- Gdy się pojawi, biegiem do onkologa. 95 proc. umiera w ciągu 5 lat.

- Wczesne objawy raka. Mam listę najczęstszych objawów nowotworów - zobacz!
 - Tak objawia się rak wątroby. Jeden z sygnałów pojawia się podczas posiłku.
 - Objawy niektórych nowotworów wypisane są na twarzy.
 - Zauważyłeś rano? Zły znak. Od razu leć do lekarza, to może być rak.
 - Objaw chorego serca, raka płuc. Wystarczy prosty test.
 - Taka suplementacja może zaszkodzić. Zwiększa ryzyko udaru, raka i kamicy nerkowej.
 - Popularny lek niweluje ryzyko raka jelita grubego. Jest "ale".
 - Trzustka je uwielbia. Chronią przed stanem zapalnym, rakiem.
 - Rakotwórcze jak tytoń. WHO nie ma żadnych wątpliwości
 - Wczesny objaw raka. Może pojawić się podczas stosunku.
 - Pojawia się rano, gdy rak płuc zaatakował. Nie chodzi o kaszel.
 - Może być objawem nowotworu. Idź szybko do lekarza.
 - Broń na raka wątroby i jelit. Odchudza i wzmacnia serce.
 - Powszechny objaw raka trzustki. Zgłosiło go 85 proc. Chorych.
 - Rak trzustki - oto pierwsze objawy. Wyjaśniamy, jakie są wczesne oznaki raka trzustki.
 - Gdy się pojawi, od razu rób badania. To widoczny znak raka trzustki.
 - Atakuje z rana lub w nocy. Uważaj, to cichy objaw raka.
 - Odczuwasz to podczas snu - co to w ogóle znaczy? To rak może niszczyć Twój organizm!
 - Najbardziej widoczny znak raka wątroby. Ma go 40 proc. Chorych.
 - Masz te dolegliwości? Mogą świadczyć o początku raka.
 - To może być objaw raka. Mało kto o tym myśli.
 - Ciche objawy raka jelita grubego.
 - Pojawia się na stopach. Uwaga, to objaw raka płuc.
 - Żołądek ich nie lubi. Powodują wrzody, a nawet raka.
 - Kształt ciała wpływa na ryzyko raka jelita grubego. "Środowisko pronowotworowe".
 - Gdy zauważysz, idź na kolonoskopię. Tak objawia się rak jelita.
 - Tak pachnie nowotwór. Nigdy nie ignoruj tego zapachu.
- Kończę. Moja rada: Zastanówcie się, co piszecie. Dla pewności gońcie przed zamieszczeniem tekstu do psychiatry. Może wam pomoże, chociaż wątpię.

Książek wydaje się tak dużo, że prawie ich nikt nie czyta, bo nie ma na to czasu bądź sprawności umysłowej. Jak chcesz to możesz sobie sam książkę wydać. Księgarnie bankrutują, antykwariaty ledwo zipią albo już padły. Biblioteki pustoszeją. Czasem zajrzy do nich jakiś staruszek, jak ja, coś pożyczy albo na miejscu oglądnie. Przyznam, że dla mnie i dla innych wiekowych okazów przeglądanie, a tym bardziej czytanie książek w bibliotekach jest bardzo niewygodne. Biblioteka Śląska np. wypożycza niektóre egzemplarze, a inne nie. Analizowałem dokładnie dziesiątki tytułów książek i nie mogłem dociec, dlaczego dokonano takiego a nie innego wyboru. Nie myślę tu o tzw. wydawnictwach ciągłych (co to oznacza?), czasopiśmie, tylko o publikacjach tzw. zwartych (też jakieś dziwne określenie). Wybrałem pod lupę fachowe, archeologiczne wydawnictwa dobrze mi znane, i nic. Bibliotekarze mają swoje racje. Szkoda tylko, że nie uwzględniają w nich czytelników, biorąc pod uwagę ich dobro, wygodę i chęć czytania jeszcze czegokolwiek. Książki powinny docierać pod strzechy, a nie leżeć na magazynowych półkach. Oferta korzystania z nich na miejscu jest dzisiaj anachronizmem. Kto będzie siedział w czytelni bibliotecznej i ślęczał nad np. opasłym, 600-stronicowym tomem?

W 1960 roku przyjechał na Stadion Śląski znakomity piłkarz brazylijski Pele. To była bomba. Nie mogło mnie tam nie być. Jego zespół nazywał się FC Santos. Piękny mecz. I znowu fragment utkwił mi w pamięci. Pele był koło połowy boiska. Rąbnął na naszą bramkę z całej siły, a miał petardę w nogach, tak że stojący w niej Edward Szymkowiak nie zdołał

złapać piłki. Odbiła mu się od piersi na przedpole. To było niezapomniane widowisko. Jak już jestem przy Stadionie Śląskim, to wspomnę o austriackim zespole Austria Wiedeń. Było to parę lat później. Przyjechali grać z Górnikiem Zabrze. Na tym meczu został pobity rekord. Kibicowało ponad 100 000 fanów razem ze mną. I co ciekawe, nie było żadnych rozrób kiboli. Wszystkie miejsca siedzące i stojące zajęte. Nie wiem, ilu kibicom nie udało się wejść. Mnie się udało i nawet siedziałem. W tych latach jako nasto- i dwudziestolatek byłem jeszcze parę razy w Chorzowie. Na pewno było to spotkanie z argentyńskim zespołem Gremio. Z naszej strony sklecono doraźnie jakąś drużynę i nazwano ją „Śląsk”. Nie jestem jednak pewien. To lata sześćdziesiąte. A ostatni raz kibicowałem z kolegą Maćkiem z Opola naszej reprezentacji narodowej w meczu z Walią w 1973 roku. Muszę też wspomnieć o meczu Górnik z Manchesterem City w 1970 roku, który oglądałem w telewizji. Tego, co działo się w Katowicach, a nie mówię w Chorzowie, nie zapomnę. Chyba wszystkie telewizory były włączone. Takiego dopingu dochodzącego z mieszkań nigdy więcej nie słyszałem. No może podczas meczu z Anglią na Wembley i półfinału mistrzostw świata w 1974 roku. Tylko raz obejrzałem w tych latach mecz żużlowy i raz oglądałem zakończenie jednego z etapów Wścigu Pokoju. To były piękne czasy.

Nie wszystkie piłkarskie mistrzostwa świata pokazywano w telewizji. W 1970 roku, mieszkając na zamku w Toszku, oglądaliśmy mecze w telewizji czechosłowackiej z Ostrawy. Kolega, który był tokarzem, zmontował odpowiednią antenę. Ustawiliśmy ją na strychu nad mieszkaniem służbowym w budynku bramnym zamku i zapamiętaliśmy kibicowaliśmy Pelemu. Zdobył wraz z drużyną tytuł mistrza świata. Gdzie tam do niego dzisiejszym piłkarzom.

Nie wiem, czy teatr w Polsce jest popularny. Chodzi mi nie o ten klasyczny, lecz polityczny. Serwują nam już od długiego czasu niemal wyłącznie komedię, żeby nie powiedzieć farsę. Główni aktorzy należą do śmietanki politycznej, wprowadzicie nieco kwaśnej, a nie tej najlepszej, kremowej i słodkiej, wysokotłuszczowej. Taka zakwaszona niektórym odpowiada, a innym nie. Jak zawsze to kwestia smaku. Po niekończących się spektaklach pozostaje jednak niesmak. Prawie wszyscy się już do niego przyzwyczaili.

Kiedyś było siernięźnie, czy aby? Czasy PRL-u, te wczesne bo z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, wspominam z przyjemnością, bo to przecież i lata szkolne, i studia. Wspomnę w tym miejscu o paru przedmiotach, z których korzystałem w życiu codziennym: koszulach nonironowych, kurtkach ortalionowych, radiach, telewizorach, magnetofonach, adapterach, płytach pocztówkowych, taśmach magnetofonowych i telefonach. Odeszły do lamusa. Przyjdzie czas o nich dokładniej napisać.

Mawiają, że życie składa się z drobiazgow. Zapewne jest w tym cała prawda. No a jeśli tak to podam przykład. Wybrałem się dzisiaj, tj. 20 kwietnia 2024 roku, na zakupy do Kauflandu. Reklamowali schab w korzystnej cenie. Niestety, na stoisku nie było. Poinformowano mnie że promocja dotyczy wyłącznie mięsa zapakowanego, dostępnego w chłodziarkach. Sprawdziłem, ale nie było. Trudno. Postanowiłem kupić serca drobiowe dla kotów. Poprosiłem o 0,5 kg. Sprzedawca zapakowała podwójnie, w plastikowe torebki i podrzuciła mi na ladę. Nie sprawdzałem, co jest w środku, wziąłem do koszyka i z innymi produktami poszedłem do kasy samoobsługowej. Przyszedłem do domu, rozpakowuję wszystko, a tu patrzę – zamiast serc drobiowych są żołądki. Sprawdzam na opakowaniu i rachunku. Są wyraźnie serca drobiowe. Tak też wyświetlało mi się na kasie. No nie, wracam. Zwróciłem tej samej sprzedawczyni uwagę, że zapakowała zamiast serc żołądki. Zostałem pouczony, dlaczego nie sprawdzam, co kupuję. A ja na to, dlaczego ona nie sprawdziła, co pakuje i dała mi żołądki zamiast serc, z naklejką i ceną za serca. Nie chciałem się

przekomarzać, bo niemal każdy w takich sytuacjach ma swoją rację. Sąd by chyba musiał rozstrzygnąć. Kazała mi się zgłosić do informacji. Tam zwróca pieniądze. W informacji, kiedy powiedziałem, że trudno raczej mylić żołądki z sercami, uzyskałem odpowiedź, że każdy może się mylić. To chyba zbyt łatwe usprawiedliwienie, odrzekłem. Po jej minie zauważyłem, że już się obraziła. Nie chciałem jej dać prztyczka w nos, bo jeszcze by z tego wynikła awantura na cały sklep. Podziękowałem i wyszedłem. Wracając z marketu, zastanawiałem się, czy na tym straciłem, czy nie. Po raz nie wiem już który zadziałało tu porzekadło: Nie ma złego, co by na dobre nie wyszło. Nie mogę przecież grymasić, ponieważ spacerkiem ponownie przeszedłem przez park około 2 km w obie strony. Toż to przecież samo zdrowie. Szum drzew, śpiew ptaków, lekki deszczyk. Na dodatek przed przejściem podziemnym zauważyłem szarą wronę chodzącą po trawie, znajomą, jedną z tych, które dokarmiam z okna. Co ty tu robisz? Odfrunęła na drzewo i za chwilę przez ulicę w kierunku brzoź, gdzie ptaki dostają jedzenie. Podchodzę do ganku, a ona już na brzoźce czeka na dobry kąsek. Dałem jej 2 kawałki serca. Koty za chwilę dostaną też, bo teraz śpią. Drobną omyłką, a tyle korzyści.

U nas organizuje się często różne imprezy, na które prawie nikt nie przychodzi, tylko po to, żeby wykazać się jakąś działalnością, z reguły nikomu i do niczego niepotrzebną. Tak działa wiele instytucji państwowych. Przykładem są wystawy. Po uroczystym otwarciu ze spędzonymi na tą okazję np. uczniami sale świecą pustką. Zajmę się tymi kulturalnymi rozrywkami w pliku "O Katowicach".

Napisał latem 2024 roku Eugeniusz Tomczak

© Copyright by Eugeniusz Tomczak